Wojciech Stanisławski: W gąszczu figowców

Obawy wydawców Dahla (obawy, nawet, jeśli nie bezzasadne, to boleśnie banalne) przed urażeniem osób otyłych, ciemnoskórych lub ofiar kolonializmu w jedenastym pokoleniu szalenie łatwo jest ekstrapolować. Przy odpowiednim nastawieniu, wywołanym już to mocnymi przekonaniami, już to np. używaniem przez sąsiada tzw. dmuchawy do liści, drażnić lub ranić może dosłownie wszystko – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii".

Dziwne aż, ale zrobiło się dość głośno wokół ostatnich przypadków wprowadzania na rynek nowych, okrojonych wydań znanych już i uznanych książek. Co prawda w jednym przypadku chodzi o *pulp fiction*, a mianowicie o przygody Jamesa Bonda, w drugim – o klasykę wprawdzie, lecz literatury dziecięcej, czyli o powieści Rolanda Dahla. A jednak kilku, jak to mawiano ongiś, staroświeckich liberałów poczuło się zaskoczonych.

W przypadku Bonda sprawa była prosta, należało po prostu usunąć wszystkie negatywne określenia, które dotyczyły bohaterów o ciemniejszej niż europejska karnacji. Prościej byłoby, oczywiście, zakazać ustawowo obsadzania ich w roli negatywnych bohaterów, póki co jednak Ian Fleming Publications zmuszone były dokonać obróbki redakcyjnej. W cytowanym przez „Telegraph" fragmencie „Żyj i pozwól umrzeć" opinia agenta 007 o grupie afrykańskich handlarzy diamentami, brzmiąca „miałem ich za uczciwych, przestrzegających prawa gości, chyba, że zdarzyło im się za dużo wypić" został zmieniony na „miałem ich za uczciwych, przestrzegających prawa gości". I przyjemniej, i praworządniej, i mniej farby drukarskiej się zużyje.

Z Dahlem było więcej pracy, wiadomo, że ten klasyk powieści dla dzieci rekomendowanych ongiś jako anarchistyczne lub wręcz „antydydaktyczne" nie szczędził swoim bohaterom wyrazistych rysów, oficynie Puffin Books przyszło więc nie tylko przerobić „matkę i ojca" na „rodziców", Augustusa Gloopa nie określać już mianem „tłuściocha",

a pani Twit (w polskich przekładach – Głuptakowej, Flei lub Burakowej) jako „przerażająco szpetnej”, lecz i, relacjonując fascynacje czytelnicze Matyldy, zadbać o to, by usunięto nazwiska osławionego imperialisty Rudyarda Kiplinga oraz znanego rasisty Josepha Conrada.

Nie to jednak zdumiało entuzjastów twórczości Dahla, lecz fakt, że cyfrowe wydania jego książek dostępne na platformie Kindle zostały zaktualizowane bez wiedzy czytelników, tak, jak update’owane są „w tle” dziesiątki używanych przez nas programów i aplikacji. Niestety - nie była to, jak można by zamarzyć, akcja zorganizowana przez lobby producentów papieru drukarskiego, którzy starali się w ten sposób zwrócić uwagę na atrakcyjność dawnych, niezmiennych wydań.

> *Cyfrowe wydania książek Dahla dostępne na platformie Kindle zostały zaktualizowane bez wiedzy czytelników, tak, jak update’owane są „w tle” dziesiątki używanych przez nas programów i aplikacji*

Można by niemal ubolewać, że takie rozwiązania nie były technicznie możliwe w dniach, których 70. rocznicę będziemy niebawem obchodzić. Jak wiadomo, po zlikwidowaniu Ławrentija Berii wydawcy „Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej” wysłali prenumeratorom tego dzieła wydrukowaną na cienkim papierze notę o Morzu Beringa z zaleceniem, by nader pochlebny artykuł o komisarzu ds. bezpieczeństwa państwowego wyciąć z encyklopedii przy pomocy żyletki, po czym wkleić na jego miejsce tabelę o połowach arktycznych śledzi. Ileż opuszkom można było oszczędzić bolesnego gojenia, gdyby to Puffin Books wydawało (na licencji) „Bol’szuju Sowietskuju Enciklopediju”!

Oczywiście, przykrawanie książek to nic nowego, szczególnie wiek XIX celował w pruderyjnym przycinaniu a to starożytnych, a to Szekspira, czego cenną pamiątką jest zachowany do dziś w Victoria & Albert Museum odlany z gipsu liść figowy, który mocowano przy użyciu stosownych haczyków, ilekroć królowa zapragnęła zerknąć na umieszczoną w V & A kopię „Dawida” Michała Anioła. Wówczas jednak nie ukrywano, że konkretne wydanie książki sporządzone jest *ad usum*

Delphini, nie zwęglano oryginału, cenzorom zaś z reguły było w głowie jedno: figi. Dziś poprzednia kopia „Matyldy” zniknąć może z Kindle’a jak zdmuchnięta, z nowego wydania zaś, jak widzimy, usunięte być mogą zarówno wzmianki o tuszy, jak o głupocie, o karnacji, jak o dawnych pisarzach. Zlikwidowane może zostać – ba, powinno - wszystko, cokolwiek może urazić potencjalnego czytelnika, który wziąć może do siebie uwagi dotyczące otyłości, włosów kręconych, prostych lub ich braku: ileż figowców trzeba by ogołocić, by zabezpieczyć się przed każdym możliwym pozwem!

Wyobrażam sobie, że można by raz i drugi westchnąć nad tym, jak nierówno rozdzielane są fawory i troska wydawców. Dla mnie jednak najważniejszy w tej inicjatywie jest nie tyle dość oczywisty wektor ich dzisiejszych lęków i wrażliwości antydyskryminacyjnej, co samo przekonanie, że literatura nie tyle obrazować ma całość ludzkiego doświadczenia (w tym punkty widzenia, które mamy za chybione, fałszywe bądź krzywdzące), co dbać o to, by nikogo nie urazić, by osiągnąć budyniowy błogostan, określany bodajże przez bohaterów Lemowego „Powrotu z gwiazd” jako „mli-mli”.

Sęk w tym, że obawy wydawców Dahla (obawy, nawet, jeśli nie bezzasadne, to boleśnie banalne) przed urażeniem osób otyłych, ciemnoskórych lub ofiar kolonializmu w jedenastym pokoleniu szalenie łatwo jest ekstrapolować. Naprawdę, przy odpowiednim nastawieniu, wywołanym już to mocnymi przekonaniami, już to np. używaniem przez sąsiada tzw. dmuchawy do liści, urządzenia, które swą absurdalnością zakasowało „Fontannę” Duchampa, drażnić lub ranić może dosłownie wszystko: kolor nieba, jaki pojawia się w opowiadaniu (nie znoszę fioletu!), złamanie ręki przez bohatera (nie mogę znieść myśli o tym bólu!), melodia, jaka pojawia się w tle (to samo grali, gdy rozstawałem się z Eufemią…), nie mówiąc już o jego poglądach, przygodach i barwie głosu. Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że w przyszłości Puffin Books wydawać będą wyłącznie tablice logarytmiczne. A i to do czasu.

Wojciech Stanisławski